Nr. 19. Lwów, 1 października 1899. Rok XXII.

ŁOWIEC

Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.



Włodzimierz hr. Dzieduszycki.

W grobach rodziny Dzieduszyckich w Zarzeczu pod Jarosławiem złożono w zeszłym tygodniu na spoczynek wieczny zwłoki śp. hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, byłego marszałka krajowego, radcy tajnego, członka Akademji umiejętności itd., męża, który całe swe życie poświęcił pracy dla dobra kraju i narodu. Nazwisko hr. Dzieduszyckiego złotemi głoskami zostało zapisane w historyi naszej, a praca szlachetna jego, ofiarność na cele narodowe i poświęcenie wystawiło imieniu jego pomnik trwalszy nad spiż i zapisało je w sercach wszystkich.

W pismach codziennych czytaliśmy obszerne nekrologi, z których uwito wspaniały wieniec pamięci na trumnę śp. zmarłego, mowy, wygłoszone nad jego grobem przez gwiazdy naszej nauki, przez posłów, dygnitarzy autonomicznych i włościan, oddały hold jego zasługom, a liczne deputacye najrozmaitszych Towarzystw, oraz tłumy gości żałobnych ze wszystkich sfer i stanów, które pospieszyły do Zarzecza, aby oddać ostatnią usługę nieodżałowanemu śp. Włodzimierzowi, były najlepszym dowodem, jakiem śp. zmarły wszędzie cieszył się uznaniem i jaką miłością otaczali go wszyscy, od magnata do wiejskiego zarobnika.

Wśród deputacyj, które pospieszyły do Zarzecza, by pożegnać po raz ostatni śmiertelne szczątki męża, nigdy niezapomnianego i nieodżałowanego, znajdowała się także delegacya galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego. Zaniosła ona ostatnie pozdrowienie wiernemu i szczeremu towarzyszowi z pod sztandaru św. Huberta, najznakomitszemu z łowców.

Łowiectwo polskie przez śmierć śp. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego niepowetowaną poniosło szkodę. Zeszedł z nim do grobu myśliwy dawnej daty, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, człowiek, który żywo pielęgnował dawne tradycye myśliwskie, odziedziczone po ojcach swoich i potępiając wszelkie nowatorstwa, ani na krok od nich nie odstępował. Polowania u hr. Dzieduszyckiego, czy to w dobrach poturzyckich, czy pieniackich, prowadzone w stylu starodawnym polskim, znane były na całą Polskę, a każdy z najwybitniejszych myśliwych naszych uważał sobie za prawdziwy zaszczyt, jeśli mógł z hr. Włodzimierzem zapolować.

Kupiło się też zawsze koło hr. Włodzimierza grono najwybitniejszych myśliwych. Nigdy na polowaniu czy to w Poturzycy, czy Pieniakach nie brakło tak znakomitych myśliwych jak: hr. Leopold Starzeński, śp. hr. Aleksander Fredro, śp. Stanisław Głuchowski, ks. Adam Sapieha, śp. Artur hr. Potocki, śp. Stefan hr. Zamoyski, Piotr hr. Szembek, Stefan hr. Szembek i w. i., dalej zapraszał na polowania sąsiadów swych, pp. Obertyńskiego, Kruszewskiego, Kownackiego itd.

Polowanie sam zawsze prowadził, jak już rzekliśmy, po staropolsku i nie lubiał, by mu kto jakie robił uwagi. Tylko hr. Leopoldowi Starzeńskiemu i p. Kownackiemu wolno było dawać mu rady. Jako gospodarz sam siebie zawsze na ostatniem stawiał miejscu, zawsze wszystkich wprzód ustawiał na stanowiskach, a sam dopiero stawał ostatni. Ze stanowiska nie było wolno nikomu się ruszyć, a gdy się miot skończył, wracał, zabierał ze sobą po kolei ze stanowiska wszystkich i kazał sobie składać straży leśnej raport, ile padło zwierzyny.

Na polowaniu był bardzo wymagającym co do zachowania i kiedy kto z zaproszonych gości w czemkolwiek przeciw przepisom łowieckim wykroczył, tego więcej nie zapraszał.

Krótki liścik: „Proszę Pana do Poturzycy (lub Pieniak), pojutrze poluję, więc jeśli Pan łaskaw ze mną zapolować, to proszę przyjechać“, był prawdziwą rozkoszą dla każdego myśliwego, gdyż nigdzie tak polowania nie były wspaniałe, jak u śp. hr. Włodzimierza. I w istocie polowania te musiały robić wrażenie, zdawało się, że pod zaklęciem czarodziejskiej różdżki zmartwychwstały ubiegłe lata, że przypatrujesz się jednemu z tych polowań, które tak barwnie, tak pięknie i tak malowniczo opisywali Górnicki, Raczyński lub Hauer.

Śp. zmarły myśliwym był znakomitym; starał się o podniesienie zwierzostanu, dbał o zwierzynę, a przy pomocy takich współpracowników jak śp. Sołowij, Fabjański i Machnowski podniósł zwierzostan tak wysoko, iż knieje poturzyckie i pieniackie bezwarunkowo należały do pierwszych w Galicyi.

Zawsze śp. hr. Włodzimierz miał na myśli podczas polowań swoje muzeum. Rozstawiając myśliwych zawsze mówił do nich: „proszę strzelać do wszystkiego, do czego ustawa myśliwska pozwala z wyjątkiem muzealnych kawałków.“ Najpiękniejsze polowanie mogło pójść w niwec, jeśli zobaczył jaki rzadki okaz łasiczki, czy też jakiego ptaka; musiał paść jego ofiarą, a że strzał ten spłoszył stada sarn lub dzików, wcale go to nie martwiło, jeśli mógł swe ukochane muzeum wzbogacić jakimś nowym okazem.

Z polowań poturzyckich spisywał śp. hr. Włodzimierz kroniki myśliwskie, ilustrowane przez hr. Leopolda Starzeńskiego i śp. hr. Aleksandra Fredrę. Jest to wielka księga in folio, oprawna w skórę dzika, a w niej spisane ręką nieboszczyka protokoły polowań, zajścia rozmaite, spostrzeżenia myśliwskie itp.

Śp. Włodzimierz był jak wiadomo założycielem naszego Towarzystwa i jego prezesem do r. 1882, w którym to roku złożył tę godność, twierdząc, że rozliczne inne zajęcia nie pozwalają mu poświęcić tyle czasu sprawom Towarzystwa, ile ono według jego mniemania potrzebowało. W r. 1898 walne zgromadzenie członków Towarzystwa ofiarowało mu w uznaniu jego niespożytych dla łowiectwa polskiego zasług godność członka honorowego. Był on pierwszym i dotychczas jedynym członkiem honorowym Towarzystwa.

Również niespożyte zasługi położył śp. zmarły około wydawnictwa *Łowca*. Jest jego twórcą, a w pierwszych latach za redakcyi śp. Józefa Łozińskiego utrzymuje go z własnych funduszów. Do ostatnich dni życia był szczerym przyjacielem naszego pisma i żywo interesował się jego rozwojem.

Dziś oczy śp. Włodzimierza zamknęły się na wieki. Zwłoki jego złożono w grobach rodziny Dzieduszyckich w Zarzeczu, obok kościółka w grobowcu, który śp. zmarły sam zbudował. Zimne mury przyjęły w swe objęcia śmiertelne szczątki tego męża, który wśród dobrych był najlepszym, wśród zasłużonych najzasłużeńszym. Cześć jego pamięci!



Wskazówki dla mających zamiar sprowadzić zające do rozpłodu.

Sprawą tą, jak wiadomo zajął się obecnie szerszy ogół myśliwych, którzy zachęceni i przekonani polemiką swojego czasu w łamach „*Łowca*“ przeprowadzoną na temat sprowadzania, żywego materyału do rozpłodu, postanowili rewiry swoje odświeżyć i wzbogacić w powyższy sposób.

Wydział Towarzystwa czynił przez dwa ostatnie lata starania celem zapewnienia swoim członkom odpowiedniego, a taniego materyału rozpłodowego, nie udawało się to jednak z powodów w „*Łowcu*“ podawanych, a mianowicie z powodu za późnych zamówień i za wysokich cen, przez przedsiębiorców podawanych. W tym roku zebrało się już zaraz z wiosną zamówień na przeszło 500 zajęcyc, wskutek czego mógł Wydział poczynić kroki wcześnie i zażądać ofert od przedsiębiorców, podejmując się nabyć tak poważną ilość materyału rozpłodowego. Stan układów nie jest jednak w tej chwili w tem stadyum, żeby można go już było cyfrowo przedstawić — przedsiębiorcy, pomimo sezonu nieźle się zapowiadającego drożą się i podają jeszcze za wysokie ceny. Sądzimy jednak, że konjunktury handlowe zmuszą ich w końcu do podania niższej ceny tem bardziej, że członkowie nasi, pragnący sprowadzić zające, chcą je mieć właśnie w tym czasie, który jest dla przedsiębiorców najdogodniejszym.

Uważamy zatem za stosowne, przypomnieć już obecnie naszym czytelnikom sposób urządzania zajęczarni. Zanim przystąpimy do opisania tego sposobu, którego użyć chce znaczna część obecnie zamawiających zające naszych członków, a który uważamy za bardzo racyonalny i zanim podamy rezultaty poczynionych już prób sprowadzania zajęcy do kraju, przypominamy szanownym naszym czytelnikom, że już w roczniku w 1886 i 1887 pomieścił „*Łowiec*“ wyczerpującą i doskonałą pracę o zającu p. Kazimierza Reniszewskiego, w której tenże na podstawie doświadczeń niemieckich myśliwych podaje sposoby urządzenia zajęczarni. Ponieważ nie każdy z naszych szanownych Czytelników posiada „*Łowca*“ z owych czasów, ustępy te powtarzamy dosłownie.

„Dwa są rodzaje zajęczarni, t. j. naturalna, czyli dzika i sztuczna, czyli ogrody zajęcze. Pierwsze zasadzają się na tem, że w miejscu stosownem wpuszcza się odpowiednią celowi ilość zkądinąd przywiezionych zajęcy, uwzględniając należyty stosunek płci do siebie i warunki, w jakich zające najlepiej się mnożą, w ogrodach zaś zajęczych hoduje się zające w ogrodzeniu, wypuszczając je w jesieni na wolność, pozostawiając jednak tę ilość, która jest potrzebną do wychowania pewnej danej ilości zajęcy.

1. Zajęczarnie naturalne czyli hodowla dzika. Wprawdzie mało jest okolic, któreby dla zajęcy zupełnie były nieodpowiednie, zakładając jednak hodowlę zajęcy, powinniśmy uwzględnić przedewszystkiem jakość gleby i położenie. Najstosowniejsze są równiny o pszennych gruntach, gdzie nie brak remiz sztucznych lub naturalnych i łąk, lasków i t. d. Dobry jest również teren pagórkowaty, na którym rodzi się

pszenica i jęczmień. Zając lubi przedewszystkiem różnorodność żeru i grunt ciepły w strefie umiarkowanej; położenie zimne, wystawione na działanie częstych północnych wiatrów, ubogie piaski lub góry lesiste bez pól uprawnych, nie odpowiadają mu zupełnie i tam też wszelki nakład na zajęczarnie byłby zupełnie stracony.

Mając stosowne miejsce z jedną remizą większą w środku rewiru i kilku mniejszemi, rozrzuconemi w rozmaitych miejscach, obsadzonych tarniną, jałowcem, janowcem, miotłowcem i t. d., przywozi się zające w klatkach i wypuszcza na wolność. Przy tem uważać należy, aby na jednego samca było 4 do 6 samic, i nie wszystkie zające od razu wypuszczać, lecz partjami, po kilka lub kilkanaście, gdyż w ten sposób łatwiej się one uspokoją. Dzień wybiera się pochmurny, a odpowiednią porą roku do obsadzenia rewiru zającami jest wiosna. Chcąc mieć widoczny pożytek w możliwie najkrótszym czasie, potrzeba od razu wpuścić kilkaset zajęcy. Rozumie się jednak, że ilość stosować się będzie przedewszystkiem do rozległości rewiru, poprawić się mającego, a następnie do żyzności gruntu. Im tenże jest lepszy, tem też większą ilość zajęcy wyżywić zdoła. Osadziwszy w ten sposób rewir i dając zającom należytą ochronę, można ich ilość doprowadzić do świetnego stanu.

2. Zajęczarnie sztuczne, czyli ogródki zajęcze. Chcąc szan. czytelnikom dać należyty obraz zajęczarni, podajemy sprawozdania niektórych znakomitych myśliwych. Sposób ten poprawienia zwierzostanu, mający przedewszystkiem na celu przywrócenie należytego stosunku między gachami a samicami, znany jest dawno. Oto co o tem pisze Bechstein w *Handbuch für Jagdwissenschaft:*

„Do założenia zajęczarni nie są potrzebne duże lasy, tylko niskie krzaki tarniowe, małe zagajenia jałowcowe, lub innych drzew szpilkowych, których pieńki ucina się w wysokości 4 stóp, aby się lepiej przy ziemi krzewiły. Między temi znajdować się muszą małe pólka, obsiane żytem, pszenicą, owsem, częścią zaś zasadzone kartoflami, gdyż te rośliny, jako zielona pasza, są zającom najbardziej ulubione. Ogrodzenie nie może być plecione, gdyż zające łatwoby podkopywały, lecz winne być albo z pruskiego muru, albo też z częstokołu, lub parkanu z desek na podmurowaniu. Wysokość ogrodzenia wynosi 5 do 6 stóp. Co do przestrzeni, to zależy ona od celu, jaki właściciel zajęczarni przeznacza, czy takowa ma za zadanie wzbogacić zwierzostan w danym rewirze, czy też jednocześnie ona dostarczyć zajęcy na kuchnię.

W każdym razie nie należałoby przeznaczać na zajęczarnie większych przestrzeni jak 20 morgów. W ogrodzie, w którym tylko w powyższym celu zające się chowa, wyżywić się może 40 zajęcy t. j. 8 gachów i 32 samic, jestto liczba wystarczająca i stosunek prawidłowy. Z wszelkiem prawdopodobieństwem można się spodziewać, że jedna zajęczyca w ciągu roku wychowa siedmioro młodych, jeżeli nie przeszkodzą temu drapieżce lub zawczesna parkotnia. W normalnych, korzystnych warunkach przychowa się w ciągu roku od 32 samic 224 młodych czyli kolonja cała pomnoży się do jesieni do 264 sztuk starych i młodych zajęcy.

Jeżeli w lecie zające kolejno dopuszcza się na ruń zbożową, która się kosi w miarę wyrastania, aby nie dostała kolanek, to przyczyni się to nie mało do dobrego ich odżywiania i wzmoże ich płodność. Podczas zimy łagodnej bez śniegu i mrozów, nie należy zającom dozwolić spasać oziminy i koniecz zbyt często, gdyż pobudziłoby je to do zawczesnej parkotni. Należy więc w łagodnych zimach karmić skąpo suchą paszą, a dostęp do ozimin zamknąć. W takim razie liczy się funt paszy na sztukę. Gdy jednak zima wczesna i ostra tak, że można się spodziewać wczesnej wiosny i nie ma obawy o wyginięcie pierwszego rzutu, dobrze jest już od początku lutego karmić zające owsem w ziarnie. Owies i suchą paszę, celem uchronienia takowych od zamoknięcia, umieszcza się w budkach. Są to szopy małe, a właściwie tylko dachy, spoczywające na słupach 3 stóp wysokich tak, że szczeliną wolną, między dachem a ziemią, zające z każdej strony do wnętrza budki mają dostęp wolny. Od strony przyczołkowej znajdują się drzwi, któremi myśliwy wchodzi wnosząc karmę. Jeżeli wypadnie zające łapać, potrzeba tylko trzy boki szopy zamknąć sieciami, otwartą ścianą wejdą jak zwykle zające do wnętrza, a gdy ich już większa ilość się znajduje, zamyka się szybko siecią i tę czwartą ścianę.

Jeżeli do zajęczarni 20 morgowej wpuszczono 8 gachów i 32 zajęczyn, to można liczyć na przychowek w ciągu roku 234 młodych zajęcy. W sierpniu wypuszcza się najstarsze z młodych samców na wolność. W listopadzie powtarza się tę czynność, wybierając jednak zawsze tylko młode, przez co pozostałej w zajęczarni kolonii nie braknie paszy zielonej. Przez zimę karmi się pozostałe zające jak zwykle obficie, a na wiosnę nareszcie, gdy parkotnia się rozpoczyna, wyłapuje się samice, tudzież gachy z ostatniego rzutu i wypuszcza poza obręb zajęczarni. W polowaniach jesiennych i zimowych muszą być wypuszczone naprzód gachy, wystrzelane, aby zapobiedz przewadze samców, pozostać ma ich tylko tyle, ile do zapłodnienia wypuszczonych samic potrzeba. Ponieważ obok rozmnażania się wypuszczonych z wiosną, niezależnie od tego każdej jesieni ze zajęczarni wypuszcza się znaczną ilość gachów, poprawi się zwierzostan i przychód z polowania niezbyt rozległego rewiru, w krótkim już czasie bardzo znacznie.

Ażeby wyrobić sobie opinię należytą w sprawie zajęczarni, t. j. dokładnie poznać strony dodatnie i ujemne, posłuchajmy co mówią o tem rozmaici znakomici myśliwi niemieccy: *Homeier-Murchin* pisze w czasopiśmie „Waidmann“: „Nie mogę niestety o zajęczarniach tyle dobrego donieść, ilebym rad. Pierwsze zajęczarnie założono przed dwoma laty, gdy jednak w pierwszym roku nie dostateczną ilość zajęcy do ogródka wpuszczono, uwzględnić muszę tylko wyniki z r. 1873. Wszystkie mniej więcej sprawozdania zgadzają się w tem, że chów zajęcy znakomicie się udał, od każdej samicy dochowano się ośmioro młodych. W czasie jednak od sierpnia do grudnia nastąpiła taka śmiertelność, że z wyjątkiem niewielu sztuk, prawie do szczętu wyginęły. Środki, jakich celem zapobieżenia chorobie używano, niestety nie wiele pomogły.“

Zajęczarnia ma mieć według polecenia Hartunga 3 morgi powierzchni, ogrodzonej płotem chrustowym pionowo plecionym. Jakkolwiek drapieżce zwykle nie przez płot, lecz przez otwory umyślne, w których



Śp. Włodzimierz Hrabia Dzieduszycki

założyciel i honorowy członek gal. Towarzystwa łowieckiego.

umieszczone są łapki, starają się dostać do wnętrza zajęczarni, to przecież niektórym, mianowicie zaś łasicom udaje się się przecisnąć pomiędzy pręty grodziwa, z tego powodu uważam za właściwe użyć ogrodzenia zupełnie ścisłego. Najtańszem takiem ogrodzeniem jest parkan z półcalowych tarcic, przybijanych do słupków gwoździami, którego szczyt zaopatrzony musi być deską, stanowiącą niejako daszek z okapem na zewnątrz, a to w tym celu, aby przeszkodzić łasicom, kunom i t. d. w przełażeniu parkanu. U dołu również albo deska, albo cegły na sztorc muszą być na stopę w ziemię zapuszczone, aby uniemożliwić podkopywanie się po pod parkan. Ogrodzenie to musi mierzyć, wysokości 8 stóp, gdyż zdarzało się. że przez 7miostopowe zające przeskakiwały. Koszt takiego parkanu ze sosnowych tarcic wynosi około 200 talarów, z których 75 przypada na robotę. Do chwytania drapieżnych zwierząt potrzeba 8 pastek, 4 żelazek talerzowych na ptaki i jeden samostrzak na jastrzębie, które to przyrządy około 200 talarów kosztują. Stosowne miejsce na zajęczarnię powinno mieć położenie wysokie, słoneczne, którego grunt w mniejszej części pokryty jest klombami krzewów i drzew. Liściaste drzewa strzygą się, aby pozostały niskiemi, z iglastych zaś pozostawia się kilka wysokich, o ile możności aź do ziemi koroną sięgających drzew, które służą bażantom za ochroną i miejsca noclegowe. Wszystkie bliskie drzewa na zewnątrz, przewyższające ogrodzenie, muszą być usunięte, gdyż kuny łatwo mogłyby się do wnętrza zajęczarni dostać skacząc z drzewa na drzewo. Żelazka na ptactwo drapieżne umieszcza się na wysokich palach, przedewszystkiem zaś kosze na jastrzębie ustawiają się w stosownych miejscach. Naokoło ogrodzenia zakłada się ścieżynka, oczyszczona z trawy i gałęzi, a wysypana piaskiem. Służy ona w dwojakim celu t. j. doprowadza drapieżne zwierzęta do łapek, przyczynia się do tropienia tych drapieżców, które się do zajęczarni znęcają. Ścieżynka taka kierunkiem swoim zwraca się zawsze ku otworom w ogrodzeniu, za którymi umieszczone są łapki, przyczem należy uważać, aby wchód do łapki nie leżał niżej lub wyżej, lecz w tej samej płaszczyźnie co i ścieżka.

Łapka, zwykła pastka na kuny, z jedną klapą, opatrzona od strony wewnętrznej siatką drucianą, znaną jest ogólnie. Ulepszyłem ją przez umieszczenie drugiej jeszcze ścianki z drucianej siatki, między któremi jak w klateczce zamykam wróbla żywego. Łapka ta oddaje doskonałe usługi, może być również gdziekolwiek na osobnem miejscu użyta, a osobliwie łapie wybornie koty tyle szkodliwe dla zwierzyny drobniejszej.

Gdyby się okazała potrzeba dostarczenia zającom wody, wystarcza ku temu celowi zakopać w ziemi żłób drewniany i napełniać takowy codziennie jednem lub dwoma wiadrami wody. Dla bażantów potrzeba jeszcze urządzić kilka paprzysk t. j. pagóreczków z piasku, gdzieby się zwyczajem kuraków w kurzu kąpać i parpać mogły. Do karmienia zajęcy używa się małych tryzubków, w których się zakłada w razie potrzeby konicz, łubin i snopy owsa, ziarno zaś, marchew i buraki sypie się na ziemię. Oprócz tego budują się daszki niskie na czterech słupach, celem ochrony bażantów od drapieżnych ptaków. Zajęczarnia trzy morgi powierzchni mająca liczy się na 2 gachy i 10 zajęczyc, z tych według Hartunga mamy się dochować w jednym roku 100 młodych. Ponieważ trudno jest łapać stare zające, chwyta się w ciągu lata młode, a od tych w pierwszym roku przyrostu spodziewać się można. Stare, w zimie złapane zające, z trudnością przywykają do niewoli i w pierwszym roku mało tylko miewają młodych. Złapanym zającom ucina się słuchy, prawy gachowi, lewy zajęczycy, dzieje się to celem łatwiejszego rozpoznania płci i zachowania należytego stosunku płci do siebie. Do chwytania zajęcy proponuje Hartung kosze, opatrzone u wejścia klapami, kosze te jednak nie okazały się praktycznemi. W lecie roku 1872, mówi dalej, wpuszczono partyami do pewnej zajęczarni 52 młodych zajęcy. Rozwijały się one bardzo dobrze, aż w sierpniu przy karmieniu kapustą, burakami i marchwią, wybuchła wielka śmiertelność. Badane padłe zające były bardzo wychudłe i miały czerwonawą wodę w jamie brzusznej, niektóre cierpiały na biegunkę i wątrobę miały ciemniejszą i nabrzmiałą. Hartung znalazł kiszkę odchodową jednego zająca zatkaną jakby korkiem pogryzionemi gałązkami świerkowemi. Z początkiem grudnia śmiertelność ustała, gdy przestano dawać zieloną paszę, a karmiono tylko owsem w ziarnie i sianem, z 52 jednak zajęcy pozostało przy życiu już tylko 18. Po usunięciu nadliczbowych gachów, pozostało 11 samic i 2 samce, od których w lecie 1873 roku przybyło około 60 młodych. W sierpniu ponowiła się jednak śmiertelność mimo iż braku paszy nie było; suchego zaś siana zające jeść nie chciały.

Dalej zamieszcza von Homeier uwagi tyczące się tępienia drapieżców. Zajęczarnia i bażantarnia w R. około 2morgowa, otoczona parkanem z desek, została obsadzoną kilku zającami i bażantami w lutym 1872. W łapki i żelazka, w ogrodzie tym umieszczone, złapało się od lutego 1872 do środka kwietnia 1874, a więc w dwu latach i 2 miesiącach: 6 tumaków, 3 kuny domowe, 68 tchórzów, 19 łasic, 15 kotów domowych i 10 gołębiarzy. Oprócz tego ubito 58 lisów i 11 borsuków." „Czyż wyniszczenie tylu drapieżców pozostało bez błogiego wpływu na zwiększenie się zwierzostanu poza obrębem zajęczarni? Moi Panowie! liczcie dalej: 9 kun i 8 tchórzów, co tworzy kapitał przeszło 100 talarów, którymi w 2 latach połowę kosztów założenia zajęczarni pokryjecie, a drugą połowę pokryje w tymże czasie chów bażantów. Wtedy jest zajęczarnia od kosztów wolną i dalsza przyjemność za darmo. Pisze mi Hartung, że założył około 200 zajęczarni. W dobrze zagospodarowanych udaje się chów doskonale, w jesieni jednak zjawiła się śmiertelność mniej więcej we wszystkich zajęczarniach. Zaleca przeciw temu uprawę piołunu. W jednym ogrodzie, w którym było dość piołunu, zjawiły się choroby dopiero w 4 tygodnie po spasieniu tegoż. W innym znowu ustała śmiertelność, gdy do owsa, przeznaczonego na karmę, dodano sproszkowanego piołunu i jagód jałowcowych. W niektórych ogródkach przyczyna nieudania się chowu zajęcy leżała w dysproporcyi gachów do samic, zdarzało się nawet, że dozorcy zajęczarni nie umieli odróżnić gacha do samicy. W łapkach tych 200 zajęczarni złapało się przeszło 10.000 czworonożnych zwierząt drapieżnych w jednym roku, skutkiem czego wielu panów mimo nieudania się chowu zajęcy drugą

zajęczarnię założyć kazali, aby przez wyniszczanie drapieżców zwierzostan poprawić.“

Leśniczy Hartung, który w rozmaitych miejscach zajęczarnie zakładał, pisze: „Panowie, którzy mają własny rewir najmniej 2.000 morgów, niechaj założą u siebie zajęczarnie, takowa dla rewiru 2.000 morgowego musi mieć wielkość 3 morgów. Za jej przyczyną wzmoże się zwierzostan do tego stopnia, iż roczny rozkład wynosić będzie 500 zajęcy, co ze względu na przestrzeń tylko 2.000 morgów jest z pewnością bardzo wiele. Do tej zajęczarni 3morgowej, wpuszcza się 10 samic i 2 gachy, od których do roku z pewnością 100 młodych można się spodziewać, a mianowicie 50 samic i samców (?) Z tych ostatnich wypuszcza się już w jesieni 40 na okoliczne pola, ażeby je na polowaniach wystrzelać, pozostałe zaś 50 samic i 10 samców wypuszcza się ze zajęczarni dopiero po zakończeniu polowań, skutkiem czego, już w najgorszym razie zwierzostan do 500 sztuk zajęcy się wzmoże. Nastąpi to tem łatwiej, że przecież wszystkie zajęczyce poza obrębem ogrodu nie wyginą. Aby do podobnego rezultatu dojść w zwykłych warunkach t. j. bez pomocy zajęczarni, potrzebaby, aby stan zajęczyc po zamknięciu sezonu wynosił conajmniej 250 sztuk. Przy najlepszem jednak gospodarstwie łowieckiem, niepodobna oznaczyć samic w rewirze, a więc większa jest gwarancya wzmożenia się zwierzostanu, gdy się ze zajęczarni corocznie 20 do 60 samic wypuści. Koszta założenia 3 morgowej zajęczarni są następujące: 1. Ogrodzenie bardzo gęste, najlepiej z cienkich, pozbawionych kory prętów (tyk), a mianowicie 6 stóp wysokie i 92 prętów długie, pręt po 1·25 talara, co czyni 122 talarów. 2. Rozmaite łapki na ptaki i zwierzęta czworonożne drapieżne 15 talarów. 3. Przyrządy do łapania samych zajęcy w ogrodzie 10 talarów czyli razem około 147 talarów i 20 groszy. Wydatek ten, pominąwszy już zwiększoną przyjemność, pokryje się zyskami w krótkim czasie.

W zajęczarniach musi rosnąć jak najwięcej stosownego pokarmu jak: koniczyna, zboża, marchew, buraki, kapusta, wyłącznie dla zajęcy, a w zimie dawać karmy z buraków, liści rzepakowych i siana. Ogrodzenie musi być tak gęste, aby się żadne drapieżne zwierzę ani nawet łasica przecisnąć nie mogła, postarać się także należy o rozmaite przyrządy do łapania drapieżnych czworonogów i ptaków Prócz tego zaopatrzyć się należy w stosowne przyrządy do łapania zajęcy, a mianowicie w opisane już kosze. Zajęczarnia daje zarazem najlepszą sposobność niszczenia zwierząt drapieżnych, gdyż takowe ściągają się ku zajęczarniom i chwytają się w zastawione łapki. Kto zamyśla u siebie założyć zajęczarnię, musi wcześnie obrać stosowne miejsce, gdyż już we wrześniu część ogrodu żytem powinna być obsianą.

Ciąg dalszy nastąpi.



„Pierwsza miłość.“

Wspomnienie myśliwego.

Przez

Alberta Mniszka.

Ciąg dalszy.

To też i teraz, pędząc całą siłą pary, myśleliśmy sobie, co tam robią nasze psy legawe, Stefana Hektor a moja Luna, i czy nasze strzelby nie pordzewiały na nic.

Rodzice Stefana mieszkali w Sokołówce w sąsiedztwie mojej ciotki Heleny w Krasnopolu, która w braku ś. p. matki, moje siostry wychowywała i u której zawsze spędzaliśmy wakacye. To też i teraz ojciec mój wraz ze siostrami już mnie tam oczekiwali. Oba domy t. j. rodziców Stefana i mojej ciotki łączyła dawna, więcej niż sąsiedzka przyjaźń.

Po kilkudziesięciu godzinach jazdy, zatrzymał się wreszcie pociąg o godzinie 4 rano w Koziatynie. Tam oczekiwały nas konie z domu Stefana, gdyż tak było ułożone, że przyjedziemy razem do Sokołówki, co było mi po drodze, a tam dopiero konie mojej ciotki po mnie wyjdą.

Wsiedliśmy do bryczki zaprzągniętej czwórką rosłych koni, zadzwoniły dzwonki i jak wiatr ruszyliśmy w kraj równy, otwarty, szeroki. Był to początek lipca Słońce jeszcze nie weszło. Świat błyszczał kroplami rosy. Lekki wietrzyk południowy przyleciał gdzieś od stepów i Czarnego morza i rozpędzał mroki nocne przygotowując panowanie światła. Niezmierzone łany tej złotawej ukraińskiej pszenicy falowały jak morze przy lekkim podmuchu. Kłosy schylały i podnosiły swe ciężkie, bogate ziarnem główki, jakby ukłonem witać chciały wschodzący majestat słońca. Wpadliśmy jak wicher w step otwarty, równy, w tę „suchą przestrzeń oceanu,“ na którym królują kurhany jak wyspy w tem morzu „pozłacanem pszenicą, posrebrzanem żytem“ w tej „fali łąk szumiących i kwiatów powodzi.“

Z dziwnem uczuciem jakiegoś niewytłumaczonego uwielbienia wpatrywaliśmy się w ten step nasz kochany, który przed rokiem opuściliśmy, w ten step ogromny, pełen przeszłości, bogaty w historyę! Tu ważyły się przez kilka wieków losy całych narodów, tu na tych stepach rozbijały się o żelazne piersi skrzydlatych wojowników wściekłe zapędy islamu! Ten step to jeden cmentarz bohaterskich olbrzymów, to krwawa ale świetna historya wielkiego i dzielnego narodu!

A dla nas młodych zapaleńców-myśliwych, ileż ten step miał uroku! W morzu zbóż rosło dla nas tysiące przepiórek, kuropatw, dropi; w oczeretach stawów i jeziorek stepowych dorastały gęsi i kaczki dzikie, a na błotach, tak zwanych rudach, długodzióby nie przeczuwały nawet bliskiego pogromu. To też już w drodze układaliśmy sobie serye polowań stawowych, polowych i błotnych.

Minęliśmy lasek mały dębowy, kąpiący się już w blasku młodego słońca i wkrótce potem wjeżdżaliśmy w wieś rodziców Stefana. Minęliśmy na noc zamykany kołowrot, przemknęliśmy koło dużej, z zieloną kopułą cerkwi, jechaliśmy przez chwilę groblą kilkusetmorgowego stawu, u której warczał i pienił wodę młyn, wjechaliśmy w bramę dworskiego starego parku i stanęliśmy wreszcie przed długim, parterowym, widocznie kilka razy dostawianym domem. Tu już na ganku służba, jak i ten dom stara, oczekiwała swego panicza; wkrótce wyszli i rodzice. Po serdecznych przywitaniach ruszyłem dalej w swoją drogę, umówiwszy się ze Stefanem zaraz nazajutrz w Krasnopolu, na stawie razem zapolować. W godzinę później i ja wjeżdżałem w aleję przecudownego starego parku, w której poznałem zdaleka, powracających zapewne z przechadzki, ciotkę, ojca i siostry.

Nastąpiło serdeczne, przywitanie tem serdeczniejsze, że o zdaniu matury uwiadomiłem telegraficznie moich drogich. Ojciec uściskał mnie ze łzą w oku, mówiąc, że chce mnie już uważać za dorosłego, siostrzyczki wieszały mi się na szyi, a ciotuś poczciwa, która mnie jak matka kochała, uściskała i ucałowała czule. Idąc do domu musiałem opowiadać o drodze, maturze, Stefanie, słowem zadawano mi po kilka pytań od razu jak to zwykle bywa, gdy po długiej rozłące z drogimi, czułe nastąpi spotkanie. Z domu wybiegło kilka psów naprzeciw nas, między którymi i moja biało kasztanowata pointerka „Luna" się znajdowała. Po ostrożnem obwąchaniu mego ubrania, poznała swego pana radośnie szczekając i rzucała mi się literalnie do twarzy.

Jeszcze tego samego dnia zawołała mnie ciotka do swego pokoju, a gdy przyszedłem, wskazała mi leżące na stole skórzane eleganckie, podługowate pudełko z dwoma haczykami po bokach i mosiężnym zamkiem w środku. Na wierzchu pudła jaśniała duża metalowa płyta, na której poznałem, wygrawirowany mój monogram. „To masz od ciotki za świetną maturę" rzekła, a ja ucałowawszy jej rączki skoczyłem do pudła, a otworzywszy je, oniemiałem z zachwytu. Przedemną leżała oryginalna dubeltówka od Lancastra z Londynu z dwiema parami luf t. j. do śrutu i do kul, z wszelkimi przyborami — w kącie pokoju leżał zapas ładunków prochu, śrutu i t. p. Byłem w siódmem niebie i gdyby mi kto dzisiaj cały klucz darował nie czułbym się tak szczęśliwym. — A to mi będzie zazdrościł Stefan — pomyślałem sobie zadowolony i już go żałować zacząłem, gdy powiedziała mi ciotka, że i on tak samo obdarzonym został, gdyż ojciec Stefana w porozumieniu z nią dla nas obu, dwie strzelby z Londynu sprowadził.

Nazajutrz przyjechał do mnie Stefan z nową strzelbą i psem, równie jak i ja szczęśliwy.

CZĘŚĆ II.

Całe Krasnopole, miasteczko, wieś i dwór otaczał półkolem staw ogromny, zamknięty do połowy oczeretem. Staw ten miał formę półksiężyca, którego szerokość w środku pod dworem wynosiła ze dwie wiorsty, długość około pół mili. Na południowym końcu tego półksiężyca wpływała w staw rzeczka, Chorochwatka, przez groblę, u której warczały koła młyńskie. Na północnym jego końcu wypływała znów ze stawu Chorochwatka groblą, obracając młyn, by kilkaset kroków dalej wpłynąć w staw daleko jeszcze większy, Kamiennym zwany. Rzeczka ta odświeża w ten sposób głębie pięciu czy sześciu stawów i by przejechać całą jej długość czółnem trzeba na to kilka dni czasu. Nie raz ze Stefanem odbywaliśmy w części tę drogę, a przez groble przeciągano nam czółna.

Dobrze jeszcze przed wschodem słońca byliśmy u brzegu stawu, gdzie czekali już nas przewoźnicy z czółnami. Umówiliśmy się jechać, każdy inną stroną i zjechać się razem na grobli od Kamiennego stawu, przeciągnąć czółna i polować dalej, a nawet i na trzeci staw jeszcze się dostać, bo słyszeliśmy, że na nim wywiodło się kilka stad dzikich gęsi w tym roku. Staw Kamienny należał również do mojej ciotki, gdy staw trzeci należał do właścicieli Woronnego, był więc obcą własnością. W owych jednak czasach nie egzystowało jeszcze na Ukrainie prawo własności polowania. Polował każdy, gdzie chciał, a kto pierwszy przybył, czy do kniei, czy na staw lub rudę, ten był panem dnia tego; to też wtedy, myśliwy, jak powiada Mickiewicz „jak okręt na morzu, gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, bujał po przestworzu."

Stefan pojechał prosto i za chwilę zniknął w oczeretach, ja zaś płynąłem cicho po uroczem, czystem przeźroczu wód, musiałem bowiem przepłynąć przez szerokość stawu, by się dostać na drugą jego stronę. Słońce jeszcze nie weszło. Niebo na wschodzie ubrało się już w płaszcz z purpury i złotogłowiu, którego blask zaczerwienił lekko wschodnim zefirem poruszane fale stawu. Olbrzymie lustro wodne podobne było do nieba ubranego różowymi pogodnemi „barankami." Przyroda senną jeszcze była, ale pół sen ów rozpędzał chłodny wiatr poranny, jak gdyby herold posłany przez słońce, oznajmiał światu, że za chwilę boski Apollo swe dzienne rozpocznie panowanie.

„Złotowłosa" ustępowała miejsca „Promienistemu", który właśnie wysuwać zaczął złotą swą tarczę z wód i mgły odmętu. Pochyliły się wiatrem ruszone trzciny, zerwały się pierwsze stada kaczek, od strony Stefana, rozległ się huk strzału i zbudził do reszty ospałą przyrodę. W oczeretach zawrzało jak w ulu. Drobne ptaszki zaczęły swe dzienne rozhowory, zerwały się z szumem setki dzikiego ptactwa, czaple ociężałym lotem przenosiły się w bezpieczniejsze miejsca, a na spokojnej już toni okazywały się i nikły olbrzymie podobne do łabędzi nury.

Za chwilę i ja wjeżdżałem w las oczeretów, w labirynt dróg wodnych, utworzonych przez grupowanie się pływających wysp, czyli spławów porosłych wysoką trzciną. W niektórych miejscach rozchodziły się spławy, tworząc jeziorka pełne dzikiego ptactwa. Wtem zerwała mi się dość daleko krzyżówka, ale trafiona strza-

łem w powietrzu, wpadła w oczeret. Luna przyniosła mi ją za chwilę do czółna, a ja ucieszony byłem tym rezultatem, który wskazywał, że strzelba nowa moja nietylko ładna, ale i dobra. Odtąd wśród ciągłych strzałów płynęliśmy ku kamiennej grobli. Przybyliśmy do niej prawie równocześnie. Pokazało się, że Stefan był szczęśliwszym odemnie, bo prócz kilkunastu kaczek zabił i trzy dzikie gęsi, gdy mój cały łup stanowił sześć kaczek i duży jastrząb.

Na Kamiennym stawie postanowiliśmy nie polować, lecz tylko przezeń przejechać, by jak najprędzej dostać się na staw Woroniecki, do którego nęciły nas zapowiedziane, pewne gęsi. Po dobrej godzinie jazdy, staw zwęził się nagle i wpłynęliśmy w Chorochwatkę, po której obu brzegach ciągnęły się pyszne szmaragdowe mokre łąki. Co chwilę zrywały się z nich kszyki i siadały dalej, by w upale południa leniwo się wygrzewać. Wkrótce dopłynęliśmy do młyna i grobli za którą rozlewał się przepyszny staw Woroniecki. Przez groblę przeciągano nam czółna, my tymczasem rozglądaliśmy się po okolicy. Na prawo od nas rozciągały się niezmierzone łany złotych zbóż, na przodzie staw w oczeretach, za którymi rozsiadł się zielony dębowy lasek, na lewo leżała wśród ogrodów i łąk, wieś Woronne. Nad nią panowała duża cerkiew z wysoką złoconą kopułą, która na tle czystego szafirowego nieba odbijała słoneczne promienie i zdawała się gorzeć w złotym ogniu. W dali, koło wsi nad stawem, na pagórku widniał otoczony prastaremi lipami i świerkami wspaniały pałac w włoskim stylu z bogatą kolumnadą i arkadami, z wieżyczkami po obu bokach, zwrócony frontem do lustra wody, biały, lśniący, dumny jakby z czystego wyciosany marmuru. Przed pałacem, zielone gazony, poprzecinane czysto utrzymanemi ścieżkami spadały amfiteatralnie ku wodzie, tam stał biało malowany pawilonik, zapewne budka kąpielowa, a przy niej w małej zatoce jakby w miniaturowym porcie, chwiała się na łagodnej fali, barka z białym żaglem, ubrana flagami. W całym dworze, utrzymaniu ogrodu, kląbów, terassy zasłoniętej markizą, w drobnych nawet szczegółach znać było komfort i wielkopański przepych. Spostrzeżenia te zdziwiły nas bardzo, gdyż wiedzieliśmy, że właściciele Woronnego mieszkają za granicą nigdy nawet do domu nie zaglądając. Nie raz mówiono u mojej ciotki, iż szkoda, że tak ładny dwór woroniecki stoi opuszczony i zniszczony pustką i wilgocią. Oznaki jednak zamieszkania były teraz tak widoczne, iż nie było wątpliwości, że „pan jest w domu.“

Ciąg dalszy nastąpi.



Oddanie czci śp. Włodzimierzowi hr. Dzieduszyckiemu.

Czarowna polska niwa łowiecka straciła z osobą śp. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego najpotężniejszego oracza, siewcę i odnowiciela prawie już zanikającego przed laty 30-tu jednego z najszlachetniejszych sportów, bo tradycyjnego rycerskiego sportu, jakiem jest myślistwo. Nie dziw więc, że zaraz w pierwszej dobie tej żałośnej wieści, myśliwi całej Polski, opłakując tę wielką duszę — wyraz niezmiernego żalu z powodu tak ciężkiej straty w swych szeregach dali w kondolencyjnej depeszy wysłanej za pośrednictwem Wydziału Gal. Tow. łowieckiego do czcigodnej wdowy po świętej, nieodżałowanej pamięci Włodzimierzu Dzieduszyckim.

Depesza ta opiewała:

„Zgon śp. Założyciela, Protektora, pierwszego i jedynego dotychczas Członka honorowego Gal. Tow. łow. żałobnem odbił się echem w sercach myśliwych całej Polski. Ich też imieniem Wydział Towarzystwa składa wyrazy serdecznego współczucia JWPani, oraz wyrazy najgłębszego żalu z powodu niepowetowanej straty jaką sami ponieśli“. *Czarkowski-Golejewski* wiceprezes. *Seweryn Krogulski* Członek Wydziału.

Następnie w dniu pogrzebu udała się do Zarzecza deputacya z wiceprezesem Towarzystwa Golejewskim Czarkowskim na czele, złożona z członków Wydziału Witolda Mory Korytowskiego, Seweryna Krogulskiego, tudzież Członka Tow. Juliusza hr. Bielskiego (seniora) i złożyła kondolencyę na ręce Ordynata Tadeusza hr. Dzieduszyckiego, z prośbą, aby tenże raczył być rzecznikiem deputacyi wobec wdowy i całej rodziny śp. zmarłego. Ciężko strapiony hr. Oordynat wyraził w kilku słowach serdecznych podziękowanie swojem imieniem i imieniem całej Rodziny.

Złożony przez deputacyę wieniec do grobowca w hołdzie zmarłemu — był skromny — jak skromnym był sam nieboszczyk, ale piękny tą swoją prostotą, iż uwity był z gałązek dębu i świerczyny, zakończony u spodu pękiem liści paproci. Na zielonych wstęgach wieńca widniał napis: „Gal. Tow. łowieckie swojemu Założycielowi“.

Telegram Tow. myśl. im. św. Huberta we Lwowie, wysłany na ręce hr. Ordynata opiewał:

„U trumny śp. nestora i najgorliwszego orędownika polskiego myśliwstwa, wielkiego znawcy i miłośnika przyrody, wyrazy najgłębszego żalu, składa Tow. myśl. im. św. Huberta we Lwowie“.

Imieniem Wydziału:

Seweryn Krogulski prezes. *Władysław Horvath* sekretarz.



KORESPONDENCYE.

Brody, dnia 5 września 1899 r.

Mistrzem nad mistrzami jest pan nadkomisarz Kisielewski w tresurze psów. — Dostałem prześlicznego setera od hr. Starzeńskiego, ale w trzeciem polu i jeszcze na polowaniu nie był, pierwszy raz kiedy go wziął w pole pan Kisielewski, widziałem jak Tago (tak się nazywa pies) uganiał po błocie, spędzał wszystko co tylko przypadkiem napotkał po drodze. Zupełnie jak koń tabun, rozhukany. Wreszcie złapano go na sznurek — i o polowaniu z nim mowy być nie mogło.— Sam pan Kisielewski wątpił, czy będzie mógł co z nim zrobić, a po trzech tygodniach Tago zdał egzamin, który nad moje spodziewanie, świetnie wypadł! Poszliśmy na kuropatwy — pies chodził podług gwizdawki, to w prawo, to w lewo, w zygzak, galopem wolnym, stawał ślicznie, po strzale czekał — aż mu kazano aportować, do ręki przynosił, lekko tak oddawał, że nic nawet nie zmoczył, a raz żywa przepióreczka mała, którą aportował, uciekła mu z pyska. Na próbie był drugi pies i to dobry, Tago nic sobie z niego nie robił i chodził doskonale, szukał i stawał osobno — (stadko było rozbite na łące), więc widział jak drugi pies stawał, ale bez zazdrości patrzał i nie przeszkadzał. Prawdziwie, że oczom moim nie chciałem wierzyć, że to Tago! O mistrzu! Cześć! uznanie i dzięki ci składam za twoje trudy cierpliwość i mękę, naturalnie bezinteresowną — bo pan Kisielewski mógł polować już z ułożonym i dobrym psem, więc tylko, żeby mi zrobić przysługę towarzyską — zatem jeszcze raz dzięki ci, kochany Towarzyszu!

Kuropatw w naszej okolicy jest dużo i to wszędzie, nawet w takich miejscach, gdzie przedtem nie było nigdy. Co to znaczy kilka lekkich zim, bez śniegu. — Zajęcy dużo się widuje.

Marceli Tyszkiewicz, delegat.

Lwów, we wrześniu 1899.

Od kilku tygodni tęsknem spoglądałem okiem na strzelbę wiszącą na kołku, gdy wtem wpadł mi w ręce Nr. 220 „Słowa polskiego“, a w nim artykuł zatytułowany „Dla myśliwych.“ No — myślę sobie — nie mogąc sam, dowiem się, jak inni polują. Czytam więc i na wstępie dowiaduję się, że „rzeź kuropatw już się rozpoczęła“ ale co więcej „że po zagajnikach rozlegają się krótkie urywane ujadania wyżła“—dalej znajduje znów przestrogę jak zachować się należy przy otwieraniu strzelby, bo zdarza się czasem „że strzelba puszcza a wtedy strzał ugodzić może sąsiada.“ Wszystko to napisał jakiś myśliwy (?), któremu „nie zdarza się ani jedno pudło“ jak sam o sobie powiada! Czy to na prawdę dla myśliwych, czy to tylko żart, ale gdzież w takim razie dowcip?..... Kochany panie, weź pan swego ujadającego wyżła i urządź pan przy jego pomocy rzeź kuropatw w zagajniku, ale nie używaj pan przytem żadnego instrumentu, który „puszcza“, bo to może być nieprzyjemnem dla sąsiada, a nadewszystko nie kpij pan z czytelników!

Tak wygląda myślistwo w publicystyce. Przejdźmy teraz do prawdziwego.

Zrodziła pszeniczka ale i przepiórki nie zawiodły, przypomniały się dawne lepsze czasy. Nie wiem jak gdzie indziej, bo i w *„Łowcu“* żadnej o przepiórkach nie wyczytałem wieści, ale w kołomyjskiem jest ich sporo a pilniejsi myśliwi nazbierali już po kilkaset sztuk. Nareszcie w tym roku liczniej nas odwiedziły i wyrównają po części kilkoletnie braki. Z błót wielkich pomyślne nadchodzą wieści, nasze małe błotka niestety suche zupełnie. Pod koniec lipca i z początkiem sierpnia polowałem kilkakrotnie z niezłym rezultatem na kaczki, ale spotykałem prawie tylko krzyżówki. Dziwnie mało widywałem cyranek i to w miejscach, gdzie rok rocznie bywa po kilka gniazd. W Połtwi pokazywali mi ludzie o kilkaset kroków od rzeki, obok dość uczęszczanej drogi, stertę zeszłorocznej słomy, z której w maju wypłoszono krzyżówkę — zniosła dwa jaja, ale nie wróciła już. Z kuropatwami jeszcze się nie widziałem, zajęcy wszędzie dużo się spotyka, więc piękna nadzieja na zimę. Z Czeremchowa pisze mi p. rotmistrz P., że do stodółki żyda pod lasem wbiegło pięcioro młodych jarząbków, jednemu kogucikowi dał rotmistrz obrączkę na nóżkę, aby skonstatować czy w zimie nie znajdzie się na rozkładzie. Gdyby nie mnóstwo drapieżników byłoby tych miłych ptasząt tutaj sporo, bo mają wszelkie sprzyjające warunki.

Nakoniec wzmianka o przywiązaniu rodzinnem u kun. Mój znajomy kapitan H. z Czerniowiec, znany myśliwy i znawca wszelkich sposobów łowienia drapieżników w żelaza, trzymał w klatce złapaną w kołomyjskiem kunę tumaka (samca). Po długich poszukiwaniach udało mu się skądś dostać w zamian za parę kun domowych samicę kuny leśnej, którą umieścił w jednej klatce ze samcem ciesząc się nadzieją przyszłego potomstwa. Kuny jakiś czas stroniły od siebie, z czasem jednak oswoiły się z sobą a gdy już wszystko zdawało się wskazywać, że nadzieje kapitana się ziszczą, pewnego pięknego poranku znaleziono w klatce tylko samca oraz szczątki pożartej przez czułego małżonka samicy. Dziwny to objaw tem bardziej, że kuny doskonale były żywione. Okrutnik śmiercią za tę zbrodnię ukarany został. *L. Ł.*

Lwów, we wrześniu 1899.

Dnia 19 wrześuia br. przeszukując w Kulparkowie jedno z pól kartoflanych, zabiłem słonkę, która po pierwszym chybionym strzale, zapadła dalej w kartoflach. Była zupełnie zdrowa i w dobrej kondycyi, chociaż nie bardzo oblana. *Aleksander Małaczyński.*

Batiatycze, we wrześniu 1899

Muszę się podzielić smutną wiadomością z Szanowną Redakcyą, a mianowicie: giną zające. Kilka już znaleziono nieżywych na polach. Mianowicie pod skórą, po całem ciele, występują guzy wielkości orzechów laskowych, guzy te ropią jak jakieś karbunkuły i za-

jące giną, co przy rozgałęzionem kłusownictwie u nas, nader smutną jesień i zimę nam rokuje. — Dziś dochodzą mnie wieści, że przyłapano żyda w Kamionce Strumiłowej, który przygotował do wywozu do Lwowa 5 kóz i miano go aresztować.

Strzelanie sarn to tu zwykła rzecz u moich sąsiadów niemców i chłopów okolicznych.

Ptactwa błotnego, kszyków i dubeltów stosunkowo dużo. Cietrzewie — dobrze się wylęgły — i jest ich dość po zapustach.

Uregulowanie licytacyi na polowania gminne obiecują władze na wrzesień. A zatem czekamy — może będzie lepiej.

Tadeusz Romanowski, delegat żółkiewski.

Z Brodzkiego, 22 września 1899.

Czasem przyda się delegat. W naszem Towarzystwie zrobiono projekt ogromnej wyprawy z chartami; z całej okolicy amazonki i panowie młodzi przygotowania robili. Wszystko to ładnie i dobrze, lecz było i ale!! i to wielkie — bo zadługo było im czekać do 1 października i naznaczyli łowy według starej ustawy na 15 września, zwłaszcza, że czas był październikowy. — Wszystko już było gotowe, amazonki, charty, konie, a szczególnie ochota. Na szczęście, czy nieszczęście. Zdaje się i jedno i drugie, — na parę dni przed polowaniem znalazł się w ich towarzystwie, delegat pan Garwoliński i naturalnie silnie zaprotestował, a najwięcej ich przestraszył tem, że kto będzie na polowaniu to po imieniu i nazwisku poda do „*Łowca*!" Nawet prośby ładnych pań nie pomogły i musiano rozesłać telegramy na wsze strony, że łowy odłożone. Uderzam się w piersi i mówię „mea culpa" — i ja niżej podpisany jestem delegatem, ale chociaż protestowałem!... na prośby pań może byłbym zmiękł. Więc dzięki ci kochany delegacie za twoją energję — bo i prawu zrobiło się zadość i moje sumienie czyste!

W naszej okolicy widuje się bardzo dużo zajęcy — kuropatwy wszędzie są. — Słyszałem przedwczoraj, że słonki przyszły — byłoby to wcześnie, ale już we wrześniu przed laty strzelałem — mogą być i muszę jutro sprawdzić; do *Łowca* doniosę. — Naturalnie, że imion uczestników nieudałej wyprawy wrześniowej z chartami nie podaję — i swego nazwiska także — ale podpisuję:

Jeden z delegatów brodzkich.



Kronika.

Pożegnanie myśliwego. Jeden z członków naszego Towarzystwa otrzymał w dniu swojego ślubu następujący liścik od swoich Towarzyszów myśliwskich:

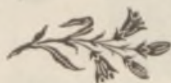
Druhu nasz! na Twe wesele
Życząc Tobie szczęścia wiele
Dostarczamy Ci zwierzyny,
By Twe uczcić zaślubiny.
Że twa broń w małżeńskim stanie
Rdzewieć będzie Ci na ścianie,
Bo przepędzać wolne chwile
Będziesz wolał z żonką mile
I zarzucisz nadal łowy,
Więc żegnamy Cię — bądź zdrowy!
Jak myśliwska Twa drużyna,
Posmutniała, tak zwierzyna,
Że tryb życia zmieniasz zgoła
Jednogłośnie w szczęściu woła:
„Niech nam żyje, gdy się żeni,
„Bo się dola nasza zmieni
„Pozbędziemy się już wroga
„I ustanie nasza trwoga!"
Jedne modlą się z wdzięczności,
Inne skaczą znów z radości,
Kuropatwy i przepiórki
Odmawiają w głos paciorki.
Lis z zającem idą w tany,
W takt klekocą im bociany,
A żórawie i kulony
Wraz wydają fletów tony.
Pliszki, czajki i kuliki
Pikulinek wznoszą krzyki,
Sucherlawy bąk im w błocie
Wciąż przygrywa na fagocie,
Długodzióbe zaś bekasy
Naśladują becząc basy;
Tu porywa niedźwiedź tura
Dziś! dziś! woła tnąc mazura,
Tam macicry i odyńce
W kółko raźnie kręcą młyńce,
Dzikie kaczki żłopiąc wodę,
Na cześć Twoją kwaczą odę,
W końcu woła razem wiara:
„Niechaj żyje młoda para"!
A pan bocian mi orzeka,
Że go rychło podróż czeka.

Ryś. W muzeum im. Chałubińskiego w Zakopanem oglądaliśmy tego roku zabitą dnia 6 kwietnia br. w dolinie kościelickiej rysicę, niestety bardzo niezgrabnie wypchaną.

O rysicy tej znajdujemy w „Loveckim Obzorze" następującą wzmiankę, umieszczoną tam przez niejakiego p. Bohdana;

„Było to dnia 6 kwietnia na ponowie. Po lekkiej zimie spadły ogromne śniegi, które pozwoliły nam tropić zwierza. Szczęście nam sprzyjało. Ja i dwaj moi gajowi, zaraz przy rannem rewirowaniu napotkaliśmy świeże ślady rysia. Szliśmy za nimi aż na „Upłaz", gdzie łatwiej można życie stracić, niż rysia wyśledzić. Tam w rozpadlinie skały, miał nasz ryś schowaną sarnę, na którą się jednak przed naszem przybyciem pokusiła liszka. Ale ryś, jak to odczytaliśmy z tropów, wrócił z polowania, zwietrzył pomocnika i hajda na niego! Skoki obu tych zwierząt świadczyły nam o wielkim przestrachu lisa, a niemniej o wielkiej rysia mściwości. Obydwaj godni siebie „przyjaciele" po krótkiej gonitwie zeszli do zasięgu leśnego — lis bowiem, który czuł już grzeszną swą duszę w piętach, sądził widocznie, że tu łatwiej ucieknie, ale się pomylił, bo i rysiowi łatwiej było po równem gonić. Poznawszy swój błąd, rzucił się lis do niedaleko płynącego potoka „Czarnego Dunajca" ale i tu musiał mu ryś „kożuch zapocić", bo wyskoczyli ztamtąd obydwa, poczem liszka w kilku skokach dostała się do ogrodzenia, znajdującego się blizko letniej restauracyi. Tutaj ocalała. Ryś, zniechęcony swojem niepowodzeniem, odszedł do „Saturna", na skałę „Pisaną", gdzie znajduje się pamiątkowa tablica na cześć turystów czeskich. Tutaj padł ryś przy nagonce zaraz tego samego dnia zarządzonej pod strzałem leśnego Drożdzika. Przyszedł mu na kilka kroków przed lufę — ale że leśny miał jakieś niepewne naboje, kłapnął do niego z prawki — ryś stał jednak i czekał, aż leśny wypalił do niego kulą z lewki. Ciągnął się jeszcze na przednich nogach od miejsca strzału, ale nowy włożony nabój wygnał mu na dobre życie z ciała."

Rysica ta ważyła 14·8 kg.



Kauczyński i Oberski

ulica Karola Ludwika 7 LWÓW filia ulica Halicka 6

Nowości w zabawkach dziecięcych.

Taniej jak w Wiedniu!

Lawn-tennisy angielskie i amerykańskie.

Lawn-tennis kompletny angielski złr. 25·—.

Rakiety po	złr.	3·25
„ „	„	4·50
„ „	„	5·—
„ „	„	6·50
„ „	„	7·50

i wyżej.

Piłki obciągane tuzin złr. **5·50.**

Uzyskaliśmy od firmy amerykańskiej **z Nowego Yorku**

FONOGRAFY

systemu Edisona na wyłączną sprzedaż po cenach fabrycznych

po złr. 20·—

Od firm szwajcarskich i lipskich najlepsze

instrumenta muzyczne

„Symphoniony“ po złr. 6·50

samogrające po złr. 10·50, 15·—, 22.—, 35 i wyżej.

Kauczyński i Oberski

ul. Karola Ludwika l. 7 — LWÓW — Filia ul. Halicka l. 6

Cenniki ilustrowane gratis. 1—6

Sassów!

Sławne bibułki cygaretowe **Sassowskie**, przerabia na **książeczki** (do kręconych papierosów), oraz na **tutki cygaretowe** **wyłącznie** firma

S. Wierusz Niemojowski

we Lwowie.

Do nabycia we wszystkich trafikach.

CENNIK SKŁADU WIN

Alojzego Jahla

Lwów. ul. Sykstuska l. 47.

Castelli czerwone	litr	—	złr. 36	ct.
Opollo „	„	—	„ 44	„
Spalato „	„	—	„ 48	„
Istryańskie „	„	—	„ 50	„
Lissa „	„	—	„ 60	„
Alcamo biało	„	—	„ 40	„
Parsurica „	„	—	„ 56	„
Marsala „	„	1	„ —	„



Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca we Lwowie, ul. Karola Ludwika 1.

Główny magazyn i fabryka

BRONI

odszczególniona dyplomem honorowym c. k. ministerstwa handlu i 10 medalami zasługi

poleca znakomitą

broń myśliwską

oraz

AMUNICYĘ

i wszelkie

przybory myśliwskie, łowieckie, do konnej jazdy, szermierki i podróży po cenach najtańszych.

Cenniki bogato ilustrowane na żądanie gratis i franco.

Filia c. k. uprzyw. austryackiego

ZAKŁADU KREDYTOWEGO

dla Handlu i Przemysłu we Lwowie

(ul. Kościuszki 7, róg ul. Trzeciego Maja)

wydaje

począwszy od 26 września 1899

prócz

3% asygnat kasowych

z 8-dniowem wypowiedzeniem

3½% asygnat kasowych

z 30-dniowem wypowiedzeniem

także

4% asygnaty kasowe

z 90-dniowem wypowiedzeniem.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.